Nr. 14 (1628) Warszawa, 6 kwietnia 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Iluzje robotnika.

Ongi rzekł Karol Marks:

„Nie zrozumie społeczeństwa kapitalistycznego ten, kto nie rozumie — fabryki". Fabryka, wedle niego, to — wzór obecnego ustroju społecznego, i zarazem jego streszczenie. W niej rodzi się i rozwija ów antagonizm klasowy, który społeczeństwa dzisiejsze dzieli na dwa zasadniczo wrogie obozy. Wszelka próba wyświetlenia stosunków kapitalistycznych, nie biorąca za punkt wyjścia—fabryki, będzie próbą nie dostateczną i błędną. Wszelki wysiłek ku zreformowaniu społeczeństwa kapitalistycznego, nie liczący się ściśle z warunkami, przez fabrykę stworzonymi, będzie wysiłkiem płonnym i samoułudnym: nie dotknie on bowiem wcale istoty kapitalizmu. Nie należy się łudzić, upewniał Marks, jakoby każda zmiana, dotycząca życia społecznego, powodowała zmianę w samej naturze kapitalizmu. Natura zaś kapitalizmu zasadza się, jak wiadomo, przedewszystkim na sposobie wytwórczości.

Te prawdy katechizmowe z pism wielkiego filozofa-ekonomisty trafiły — *via* Kautsky — do umysłowości i naszych także marksistów. Mimo olbrzymiej przewagi żywiołu rolniczego w naszym kraju, poczytują oni niezachwianie fabrykę za typ, według którego kształtują się stosunki ekonomiczne w społeczeństwie polskim. Garść proletarjatu fabrycznego, stanowiącą drobny zaledwie ułamek narodu, uważają oni za jedynie żywotną ruń, z której wykłosić się ma złota przyszłość Polski.

Uświadomienie tudzież podniesienie ekonomiczne i społeczne robotnika polskiego leży nam na sercu jako demokratom, pragnącym nowy żywioł zjednać dla kultury, i jako polakom, usiłującym świeżą kulturę wcielić do narodu. Ale właśnie świadomość tego obszaru prac samokształcenia, jaki leży przed robotnikiem, prac które podjąć on musi koło siebie i nad sobą przedewszystkim, powstrzymuje nas od obarczania go powinnościami nadmiernymi. Od mroku żałoby, w którym żyjemy obecnie, kartę dziejów naszych odwrócić może ku słonecznej stronie nie kilkaset tysięcy robotników fabrycznych, ale jedynie dziesięćkroć potężniejsza rzesza włościaństwa rolnego.

Robotnik, dziś zatrudniony przy warsztacie fabrycznym, jutro znaleźć się może na bruku, pojutrze zawędruje za zarobkiem aż po Ural, za Don, daleko poza progi ojczyste, na obce lądy, poza obce morza.

Inaczej włościanin, na roli swej zagospodarowany. Nie wysadzi go z ojcowizny siła bylejaka. Twardo wrósł on w zagon rodzinny z dziada-pradziada. Trzeba wściekłego wichru albo siły pioruna, ażeby z korzeniem wyrwać go z ziemi. Ma on swą zagrodę, swą udzielną skibę, na której jest panem. Ona go wyżywi, ona stworzy dlań podstawę samodzielności. Na niej obwaruje on swą nietykalność, swą niezależność wobec środowiska, wobec władzy świeckiej i duchownej. Poszanowanie własności, jak trafnie zauważył Proudhon, żyjące w duszy włościanina, staje się podłożem, z którego wyrośnie w nim cześć dla indywidualności, kult jaźni, odrębność duchowa i przeświadczenie o jej wartości.

W naszych warunkach obecnych robotnik, zależny w znacznej mierze od fluktuacji niemieckiego, belgijskiego, lub szwedzkiego kapitału, jest żywiołem lotnym, gdy natomiast włościanin, osiadły na glebie, przedstawia żywioł stały, niezależny, samostarczalny pod względem ekonomicznym, a przeto dojrzały do samodzielności duchowej.

Czy znaczy to, że na lud robotników fabrycznych „machniemy ręką", — jak wyrażali się niektórzy członkowie ostatniego zjazdu delegatów Tow. Kultury Polskiej — grzebiąc interes ich klasy w cieniu interesów włościaństwa rolnego?

Zarzut tego rodzaju byłby typowym okazem demagogji, usiłującej przedstawić stan stwierdzonej rzeczywistości jako wyraz osobistej intencji stwierdzającego.

Jeśli ostoję przyszłości polskiej widzimy raczej w dźwigającej się rzeszy ludu rolnego, nie zaś w proletarjacie fabrycznym, to nie znaczy byśmy mieli odtrącać robotnika od udziału w pracy narodowej: znaczy to jedynie, że nie fabrykę, ale wieś polską, zagrodę chłopską, uważamy za podścielisko, w którym zakiełkuje ziarno przodownictwa kulturalnego w Polsce ludowej.

Ideolodzy marksizmu, hodujący szczepionki autentycznej doktryny swego mistrza na naszym pniu społecznym, niedźwiedzią wyrządzają przysługę polskiemu robotnikowi: oblekając rzeczywistą, nieporadną jego nędzę i ciemnotę w majestat fantastycznej dyktatury, zabijają w umysłowości jego wszelki krytycyzm wobec samego siebie. Karmią go ustawicznymi iluzjami. Zaludniają wyobraźnię jego snami o wielkości, urojonej potędze i grozie. W dłoń jego kładą berło władcze, nie dbając, że oznaki królewskie bez istotnej siły króla są tylko przedmiotem urągowiska. Robotnik rozgoryczony tym szyderczym kontrastem, boleśnie dotknięty zawodnością ułud, którymi go darzono, ujarzmiony przez fabrykanta, bezsilny wobec przemożności państwa, wyzyskiwany i bezbronny wobec księdza, gdzież znajdzie upust dla swych uroszczeń dyktatorskich? Komu wypowie walkę?

Kapitalizmowi? — Państwu? — Kościołowi?

Nie! są to potęgi zbyt groźne dla jego wątłych ramion i tępej głowy. On, tocząc się po linji najsłabszego oporu, stanie do walki z kulturą polską i reprezentującymi ją organami!

Zwycięstwo, zaiste, odnieść może tanie i prędkie, ale jakże smutne!

Protest Artystów
w sprawie „Pochodu na Wawelu".

My — niżej podpisani protestujemy przeciw umieszczeniu „Pochodu na Wawelu" Wacława Szymanowskiego na wzgórzu Wawelskim, tudzież przeciw czynieniu z wykonania tego dzieła sprawy narodowej, a to z powodu, że dzieło to pod względem artystycznym nie odpowiada zasadniczym warunkom sztuki pomnikowej, a pod względem ideowym nie odpowiada wielkości historycznej Polski.

Artyści w towarzystwa niezwiązani:

Badowski Zygmunt. Biske Karol. Breyer Tadeusz. Bukowski Stefan. Bukowska Molly. By-

Leon Choromański.

MARKIZA de BRINVILLIERS.

Rok 1676. Paryż. Dzień letni. Nieprzejrzane tłumy na ulicach, w oknach i na dachach.

Na wozie, zasłanym słomą, stoi Markiza de Brinvilliers. Tyłem do konia—w kołpaku, w zgrzebnej koszuli, ze strykiem na szyi, bosa. Skazana za zapamiętałe trucicielstwo na oddanie głowy pod miecz, spalenie ciała i rozsianie prochów na cztery wiatry. Z jednej strony skazanej — spowiednik, z drugiej — kat. Koło wozu pachołkowie, wojsko. Przed wozem mnichowie w kapturach, chorągwie, na których otchłanie ogni piekielnych, pochodnie, krzyż z Chrystusem, spowitym czarną krepą.

Markiza (wzdryga się, potrząsa głową, opędza się myślom):

...Nie śmierć, lecz życie rozpamiętywać... Śmierć? Widziałam ją nieraz, gdy odchodzili tamci.

Kto ja byłam? Gdyby wiedzieli... Nikt mnie nie odgadł. Kochałam tych, których trułam. Życie ich nie było tem jednem, czego pragnęłam. Łaknęłam śmierci, aby nasycić pełnię. Mogli żyć, lecz wtedy jabym nie była nasycona... (szeptem) byłam lwicą... hyeną... wężem...

Teraz jestem sama—jak zawsze... Teraz wśród szmeru ostów cmentarnych... Kto czuł żar mój pierwszy? Kto słyszał głosy? Kto widział pragnienie? Nademną — w niebie tak jasnym dla nich — unosił się obłok. Z obłoku —otwarty był jako wieko skrzyni — wychylał się Nieodgadniony. On, który wzywał mnie, który zachęcał.. W mych rękach drżała czara trucizny.

Tak, w tych pięknych rękach, strojnych w mankiety z koronek, drżała trucizna. O, rozkoszy! Dygotało serce... Bielało mę serce i usta, gdy w cieniach nocy drżała przedemną w światłości niebieskiej niby monstrancja trucizna w krysztale...

Czy ja pierwsza wychyliłam się ku Niemu? Czy ja wyciągnęłam ręce do Nieodgadnionego? Czy On do mnie z obłoku? Otwierały się usta... Wyciągały ku truciźnie. Widziałam na twarzy tych ust grymas dziecka, które placze, aby mu piersi dała... (szeptem) matka...

lewski Tadeusz. Cieślewski Tadeusz. Cylkow Ludwik. Czajkowska Marja. Czarnocki Konrad. Czarnowski Stanisław. Dietrich Władysław. Dietrich Wincenty. Dworzak Zygmunt. Dyzmański Wacław. Gorski Konstanty. Jagmin Stanisław. Kamieński Antoni. Kowalewski Bronisław. Krasnodębski Piotr. Lewandowski Ludwik. Malinowska-Gałęzowska Jadwiga. Marek Ignacy. Masłowski Stanisław. Mrozowska Marja. Niewiadomski Eligjusz. Noskowski Tadeusz. Okniński Ryszard. Otto Zygmunt. Ostrowski Władysław. Pillatti Stefan. Pillatti Gustaw. Piotrowski Antoni. Popowski Stefan. Porankiewicz Władysław. Protaszewicz Ignacy. Puzycki Kazimierz. Rapacki Józef. Ryszkiewicz Józef (senior). Sawiczewski Stanisław. Stabrowski Kazimierz. Stabrowska Julja. Tański Czesław. Trojanowski Edward. Trojanowski Wincenty. Trzebiński Marjan. Wasilkowski Leopold. Wiśniewski Bronisław. Witkowski Rom. Kamil. Zarzycki Andrzej. Ziomek Teodor.

Towarzystwo Artystów „Młoda Sztuka":

Bartłomiejczyk Edmund. Furs-Bielicka Aldona. Boruciński Michał. Jakimowicz-Borucińska Zofja. Brykner Bronisław. Bobińska-Brzezińska Janina. Brzeziński Jan. Buharewicz Jadwiga. Butrymowicz Edward. Czerny Zofja. Czerny Henryk. Czerny Wacław. Eichler Zdzisław. Glass Alina. Grombecki Henryk. Grąskiewicz Aleksander. Hazarski Wacław. Jastrzębska Jadwiga. Jakubowski Stanisław. Karmański Jan. Kuźmiński Bolesław. Kruszewski Aleksander. Lipszyc Sara. Majzel Czesław. Müller Alfred. Mieszkowski Józef. Radwan Wacław. Rakowski Wojciech. Świdwiński Aleksander. Szymanowski Marjan. Tom Józef.

W zaborze pruskim.

Zmierzch złudzeń hakatystycznych. Sprawa uniwersytetu w Poznaniu. Ważne orzeczenia.

Jedno po drugim gasną złudzenia hakatystyczne. Poczynając od Komisji Kolonizacyjnej, a kończąc na ustawie kagańcowej — wszystkie z dotychczasowych środków i zarządzeń antypolskich są źródłem stałych rozczarowań niemieckich Puryszkiewiczów i Bobryńskich. Żadne bowiem nie osiągnęło swego celu — zupełnego usunięcia z widowni życia niemieckiego t. zw. „niebezpieczeństwa polskiego". Ani wzrostu liczebnego Polaków, ani ich siły ekonomicznej, zarządzenia te złamać nie potrafiły i dziś coraz szersze koła społeczeństwa niemieckiego spostrzegają ich jałowość. W rezultacie — topnienie szeregów zorganizowanego hakatyzmu i malejąca zasobność jego kas bojowych. Stąd wrzaski coraz głośniejsze, że rząd zdradza interesy niemieckie na Wschodzie, że myśli zaniechać polityki germanizatorskiej, że działa w interesie Polaków i t. d.

Ostatnio wrzaski te wywołała pogłoska, jakoby rząd nosił się z zamiarem założenia w Poznaniu uniwersytetu. Pogłoska o tym zamiarze opiera się na zupełnym rozczarowaniu rządu do jednego z najbardziej reklamowanych przedsięwzięć hakatyzmu, mianowicie t. zw. akademji poznańskiej.

Jakim szalonym entuzjazmem rozbrzmiewała cała prasa hakatystyczna przed kilku laty, kiedy uroczyście zakładano ową akademję! Miał to być jeden z tych „kulturalnych środków germanizacji kresów wschodnich", po których tyle sobie obiecywano. Zadaniem akademji było stanie się kulturalnym ośrodkiem niemczyzny, zapobiegającym tej ucieczce Niemców ze wschodu, która taką boleścią napawa hakatystów. Mając akademję na miejscu, Niemcy będą się gromadnie zapisywali w poczet jej słuchaczów i pozostaną na miejscu, zamiast dążyć po wyższe wykształcenie na zachód — tak rozumowali hakatyści. Rząd nie ża-

---

Głos Spowiednika (który się modli) ...*umocnię nad tobą oczy moje*...

Markiza... nad innemi głowami była cisza pogody... Wędrowanie obłoków bez podszeptów... A nad moją?

— Panie — błagałam — (szeptem) wiłam się po łożu — odwróć odemnie pokusę... Czemu ja?

Zawijałam się w oponę... Tarzałam się jak z kochankiem. Ogłuszyć się... ogłuszyć... Nad innymi były uśmiechy, nade mną — niebezpieczeństwo. Stał obłok w górze — otwarty. Wychylała się twarz Niepojętego.

Mówił tak:

— Ona chce być, jak inne. Odpycha kielich, który podaję. Czy daję kiedy gorycz bez slodyczy? ranę bez balsamu? nałóg bez rozkoszy? O, Marjo Magdaleno...

Milkł. Odchodził. Byłam sama (szeptem) O, jakże dobrze jest bez Boga...

Głos Spowiednika (który się modli) ...*ojca sierot i sędziego wdów... Boga na miejscu swem świętem*...

Markiza (zwiesza głowę). Czarne wieże naokół... Słońce na dachach... w oczach... Dzwony... (wzdryga się) Rozpamiętywam swe życie...

Kogóż On posłał? Pana Sainte Croix. Ten został moim kochankiem. Że Nieodgadniony wychyla się do mnie, nie było mowy między nami. Usta moje całowały pana Sainte Croix, milcząc o tem. Chciałam spłonąć w jego objęciach. I żeby on spłonął. Szargałam w błocie obmowy nazwisko męża — markiza de Brinvilliers.

Drogo d'Aubray, mój ojciec, wyjednał u króla rozkaz uwięzienia Pana Sainte Croix zamknięto w Bastylji.

Byłam jak inne kobiety. Płakałam. Drżałam o los kochanka. Wiłam się sama... Pożądałam go. Kłamałam uroczyście ojcu, że wyrzekam się cudzołóstwa po wieki wieków.

Pan Sainte Croix odzyskał wolność. Znów płonęłam w objęciach odzyskanego. Rzekł mi w usta, w oczy:

— Drogo d'Aubray musi umrzeć... Otrujmy...

Stanęłam martwa... z białej kipiącej zgrozy. Upadłam na ziemię... płakałam.

Nachylił się do mnie. Przypełzł na kolanach.

wołał pieniędzy na uposażenie tej osobliwego nabożeństwa uczelni, która nie była ani właściwym uniwersytetem, ani uniwersytetem ludowym. Początkowo — pod wpływem agitacji hakatystycznej i nacisku rządowego — sale akademji zapełniły się słuchaczami. Ale z biegiem czasu zapał ten mijał. Liczba słuchaczy szybko się zmniejszała i już w trzecim roku istnienia akademji pustki zapanowały w jej audytorjach. Obiecujący pomysł zbankrutował moralnie, jak tyle innych pomysłów hakaty. Szerokie koła inteligencji niemieckiej uznały całe to przedsięwzięcie za kosztowną, lecz bezużyteczną zabawkę, w żaden sposób nie mogącą zastąpić prawdziwego uniwersytetu, rzeczywiście potrzebnego Poznaniowi.

Istotnie, na olbrzymiej połaci państwa — między Królewcem, Berlinem a Wrocławiem — niema żadnego uniwersytetu. Jest to w stosunkach Niemiec zupełna anomalja, widoczna dla każdego. Ale jest ona widoczna przedewszystkim dla Polaków, którzy nigdy nie przestawali wskazywać na konieczność założenia wszechnicy w Poznaniu. I to właśnie czyniło i czyni z szowinistów niemieckich takich przeciwników uniwersytetu poznańskiego. Rozumieją oni bowiem, że nawet niemiecki uniwersytet w Poznaniu stałby się niebawem ważnym czynnikiem polskiego życia na „wschodnich kresach". W Poznaniu skupiłaby się znaczna liczba polskiej kształcącej się młodzieży— i to nietylko tej, która obecnie wyjeżdża do Berlina, albo Wrocławia. Na uniwersytet miejscowy podążyłaby i ta — mniej zasobna — młodzież polska, która obecnie ze względów ekonomicznych pozostaje w kraju. Co więcej, niepodobna byłoby zapobiedz obejmowaniu przez Polaków asystentur, docentur, a nawet i katedr uniwersyteckich. W rezultacie niemiecki pod względem języka wykładu uniwersytet poznański, stałby się w znacznej mierze polskim i co do swego składu i nawet co do panującego w nim ducha. Jednym słowem uniwersytet poznański przyczyniłby się niechybnie do wzmocnienia polskości Poznania.

Dziś sprawa przedstawia się w ten sposób, że albo należy zwinąć nikomu niepotrzebną akademję, albo przekształcić ją na normalny uniwersytet. Zdaje się, że to ostatnie wyjście jest tylko kwestją czasu. I stąd niepokój hakatystów.

Hakatyści mają coraz więcej powodów do zmartwień i po za projektem uniwersyteckim. Dostarcza im ich Najwyższy trybunał swymi orzeczeniami w sprawach, blizko obchodzących Polaków. Niedawno jedno z takich orzeczeń uczyniło poważny wyłom w ustawie kagańcowej, nie dopuszczającej przemówień polskich tam, gdzie ludność polska wynosi mniej niż 60 %. Władze miejscowe rozciągały ten zakaz i na wykłady stowarzyszeń oświatowych, co uniemożliwiało pracę kulturalną w bardzo wielu miejscowościach, zwłaszcza na Górnym Śląsku. Obecnie zostało wyjaśnione, że takie rozszerzanie ustawy kagańcowej jest nadużywaniem, z czego odrazu skorzystano na Górnym Śląsku, wznawiając tam przerwane wykłady typu uniwersytetu ludowego. Drugim takim korzystnym dla Polaków orzeczeniem było rozstrzygnięcie, że zastrzeżenie t. zw. „pierwokupna" dla Polaka przy zmianie własności jest najzupełniej legalne, co w ostatnich czasach próbowano kwestjonować.

Najważniejsze jest jednak orzeczenie Sądu Rzeszy w sprawie prywatnej nauki gimnastyki, gdyż daje się ono wyzyskać dla celów nauczania prywatnego wogóle, polskiego zaś w szczególności. Orzeczenie to bowiem bardzo wyraźnie powiada, że nie potrzeba wcale uzyskiwać pozwolenia rządowego dla prywatnej nauki przedmiotów, nie objętych planem wykładów szkół publicznych, bez względu na to, czy będą z niej korzystały dzieci szkolne, czy też nie chodzący do szkoły. Tak samo na mocy tegoż orzeczenia wolno udzielać bez pozwolenia nauki prywatnej z zakresu przedmiotów nauki szkolnej, jeśli chodzi o młodzież, która już nie jest obowiązana uczęszczać do szkoły. Podczas

---

Przemawiał do mnie Sainte Croix, jak ojciec... pieścił jak kochanek... moją głowę... łono drgające.

Mówił:

— Myślałem, że masz duszę mocną. Że znajdę u ciebie balsam na ranę, którą mi Drogo d'Aubray zadał. Zapomniałem... Tyś córka...

Rzekłam (Czuję dotąd ciężkie łzy w oczach):

— Widziałeś Wychylającego się? Widziałeś?

On:

— Haust wody, Marjo?! Ochłoń..

Ja:

— Bóg cię posyła...

On:

— Zapomnijmy o Bogu... Trzeba się mścić...

Ja:

— Nie myślę o zemście... Nie chmurz się... Otruję Drogo d'Aubray... mego ojca. Bóg cię posyła... ciebie wybranego. Nikt inny nie rzekłby: otrujmy... To Bóg...

On:

— Nie mów: Bóg... Drżę... Czy jesteś szatanem gorszym od Kukodemona, że na Boga zwalasz cień Szatana. Drżę... Nie odróżniasz wrogów śmiertelnych — po wieki wieków.

Ja:

— Nie jestem opętana. Nigdy nie widziałam oślej stopy djabla. Ciało mam czyste — bez stygmatów... Bóg mnie nawiedza...

On:

— Milcz, Marjo. Ja mścić się chcę, ale nie urągać Bogu. Jam w szponach szatana. Dla zemsty w piekło runę. Chcę Boga... pragnę Jego miłosierdzia. O, gdyby On raczył wybaczyć mi zemstę!..

Ja:

— Nie zasłaniaj oczu przedemną, Sainte Croix... Nie znasz Mądrości odwiecznej... Fijołki niewinne z krwią pogodzić trzeba (Tak rzekłam wtedy...) Wszystkie żywioły uspokoić... Rzężenie umierających i słodycz hymnów anielskich... Nie znam trwogi... Nie będę cierpiała... (przymyka oczy, szepcze). Nie rozumiał mnie pan Sainte Croix...

G ł o s S p o w i e d n i k a (który się modli) ...*Nie odstępuj ode mnie; albowiem utrapienie blizkie jest, bo niemasz, ktoby ratował...*

M a r k i z a (wzdryga się, wstrząsa głową): ..Zabiłam ojca... pana Drogo d'Aubray. Pielęgnowałam go w chorobie, aż ducha wyzionął. Był mi ojcem... Cierpiał ciężko... (zapada w odrętwienie).

rozpraw budżetowych w sejmie pruskim poseł polski, Stychel, stwierdził, że stosuje się to orzeczenie do nauczania prywatnego po polsku, czemu zabierający po nim głos minister oświaty Troll-zu-Golz bynajmniej niezaprzeczył. Chodzi teraz tylko o odpowiednie wyzyskanie tego orzeczenia.

Obserwator.

BADANIA NAUKOWE.

Nauka o genjuszu.

Imię *Ostwalda*, wybitnego chemika i śmiałego filozofa staje się coraz popularniejsze, zwłaszcza od czasu, kiedy porzuciwszy ściśle nauki począł stosować swój energetyczny pogląd na świat do kwestyi codziennego niemal życia. Najnowszym płodem jego ducha są *„Wielcy ludzie“*, studja nad biologją genjusza[1]) — jak zapowiada tytuł. Drugi tom tychże stanowi przekład dzieła Alfonsa de *Candolle*, które Ostwald proklamuje jako podstawę nowej nauki o genjuszu, podnosząc zasadniczy charakter tej książki, torującej nowe drogi i metody. Co skłoniło Ostwalda do przekładu pracy dość już przestarzałej (ogłoszonej w r. 1873), nie wiadomo, bo z góry zaznaczyć trzeba, że ani metody autora nie są nowe (stosowanie statystyki do badań społecznych i psychologicznych znane było i przed Candolle'm), ani, ściśle rzecz biorąc, nie stanowią one nauki o genjuszu, gdyż odnoszą się do uczonych jednej tylko grupy, pokrewnej Candolle'owi, który był botanikiem, i to przeważnie uczonych średniej miary, nie zawsze genjalnych, a rozprószone tu i owdzie myśli zdrowe i trafne nie równoważą chybionej całości.

[1]) A. de Candolle: „Zur Geschichte des Wissenschaften und der Gelehrten, übersetzt von W. Ostwald, Grosse Männer“. Studien zur Biologie des Genies. Tom II Lipsk 1911.

Ciekawem jest dla nas pytanie: jakie są wyniki tej nowej nauki o genjuszu, nazwanej przez Ostwalda „geniologją“?

Są one tak skromne, że rozpatrując je mimowoli przypomina się — w zastosowaniu do twórcy tej nauki — jakiś dowcipniś, który w następujący sposób zdefiniował uczonego: Jest to człowiek, który wie o tem, czego nikt nie wie,, a nie wie o tem, o czem wszyscy wiedzą. — Jedną z najważniejszych kwestji w zagadnieniu genjusza, kwestję dziedziczności, rozwiązuje Candolle w sposób następujący: „Człowiek, który odziedziczył po swoich rodzicach lub przodkach pewną dozę pilności, uwagi, woli, żądzy wiedzy, odwagi, zamiłowania do porządku, do obserwacji i niezależności ducha, i to wszystko w pewnej szczęśliwej kombinacji, może uzyskać powodzenie we wszystkich poważnych, literackich, naukowych, prawniczych i innych wogóle czynnościach, wymagających uczciwości i zdolności. Jeżeli mu pomagają korzystne warunki, w rodzinie, w stanie majątkowym, wychowaniu etc. jeżeli sprzyja mu opinja i urządzenie społeczne, jeżeli fantazja nie odwodzi go zbytnio od rozsądnych dróg, a błędy i grzechy nie psują życia poświęconego pracy i prawdzie, to może dojść bardzo daleko“. — Wpływ *rasy* formułuje Candolle tak: „Widocznie rasa biała jest inteligentniejsza od innych. Dowodzi tego zupełny brak ludzi nauki w rasach barwnych. Pochodzi to głównie stąd, że w rasie białej osobnik męski ma za sobą dłuższy rozwój duchowy, aniżeli inne rasy“. — Jeżeli zważymy, że do takich i tym podobnych wyników, wylawianych z książki zawierającej około 500 stronic druku, doszedł autor po kilkunastoletniej pracy, to doprawdy trudno się wstrzymać od uwagi, że można być znakomitym botanikiem, ale bardzo banalnym filozofem.

Głównym celem geniologji Candolle'a jest zbadanie, jakie to ogólne wpływy zewnętrzne, (spo-

---

...Gdy umarł — leżałam w żarze rozkoszy. Ukazał się obłok i On. Wracał do mnie. Szedł jakłby pląsał... w blaskach szat... w woniach ogrodów. Słyszałam trąby, cymbały, flety... Leżałam krzyżem rozpostarta. Wrzała dusza moja. Usta struchlałe szeptały:

— Krew zwarzona w żyłach tych, którzy pili... Krew zwarzona...

Nieodgadniony mówił:

— Ona inna... Ona inna... Zamknąłem przed nią bramy szczęścia ciepłego. Otworzyłem przed nią bramy szczęścia płomiennego. A ci, którym sądziłem śmierć gwałtowną, zginą z jej ręki... O, jak cicho stąpa moja Marja Magdalena...

Milczałam, gdy On los mi odmierzał. Na włosach czułam promienie z obłoku. Słyszałam wołanie:

— Podnieś czoło, Marjo Magdaleno, podnieś czoło...

Wstałam i pisałam w gorączce ognistej:

— Zabiłam ojca! Otrułam Drogo d'Aubray! Syczały do mnie słowa. Pieściły mnie, jak tysiące panów Sainte Croix, z których każdy inną część mej skóry całował. A ja kochałam wszystkich, jak jednego pana Sainte Croix.

Nie byłam, jak ci ludzie, którzy się wiążą nićmi sympatji, którzy mówią:

— Dobrze nam związanym i bezpiecznie...

Musiałam pisać: truję! truję! truję. Aby dowiedziano się kiedyś, tańczyłam nad przepaścią... Zaglądałam w otchłanie pełne konwulsji...

O, głupcy! Wierzą, żem zabijała dla złota.. że z nienawiści... Nienawiść? Czy za to, że 1 a mci umierając poili mnie rozkoszą, której war spopieliłby usta innych?

Mój mąż? Markiz szeptał zawsze: tak — nie, tak nie, ledwie ujrzał chmurę na czole, ust skrzywienie... Wzgardziłam... tym jednym... Był czas... otruć go chciałam... być żoną pana Sainte Croix. Ale ten człowiek przez Niepojętego mi posłany — ten, który giął się w mych rękach jak wosk i warzył dla mnie trucizny, przejrzał zamiar mój i udaremnił. Jam truła — on dawał antidot. To było niepotrzebne — śmierć Markiza. (głośno) Dziękuję ci, Sainte Croix...

G ł o s s p o w i e d n i k a (który się modli):

rleczne, historyczne, rodzinne i t. p.) działają na ozwój nauki, zwłaszcza u najwybitniejszych uczo - nych. Candolle jest wprawdzie zdania, że przeważna część charakterów dziedziczy się i że rzadko człowiek ma wady lub zalety, któreby się nie dały sprowadzić do właściwości jego rodziców lub przodków, natomiast wychowanie, przykłady innych ludzi, rozmyślanie własne, książki i niezliczone społeczne wpływy działają w przeróżne sposoby, nie niszcząc zupełnie własności wrodzonych, ale modyfikując je Wpływ matki na dziecko i zmysł naśladownictwa występuje tak wcześnie, że trudno nieraz odróżnić, co jest wrodzone, a co po urodzeniu nabyte, ale nasze własne uczucie mówi, że zachodzi tu istotna różnica Podobne badania prowadził znany uczony *Fr. Galton*, który w swym dziele „Genjusz odziedziczony" (Hereditary genius) odróżnia te dwie grupy wpływów przez słowa *nature* i *nurture*. Niewątpliwie wpływy, jakie działają na rozwój nauki są tak zawiłej natury, że aby dojść w tej kwestji do jakichś określonych poglądów, trzeba wprowadzić niejedno uproszczenie, z drugiej jednak strony nasuwają się poważne wątpliwości, czy metoda obrana przez Candolle'a do rozwiązania tak trudnego pytania, nie polega na zbyt łatwym uproszczeniu. Metoda ta jest następująca: Jako miara „genialności" danego uczonego służy to, czy jest on członkiem (zagranicznym lub korespondentem) jakiejś Akademji umiejętności Otóż Candolle obrał sobie za przedmiot swych badań trzy Akademje: paryską, londyńską i berlińską, ułożył listę wszystkich uczonych (przyrodników i matematyków), członków zagranicznych tychże przez przeciąg 200 lat i poddał tę listę bliższej analizie, z której ma wynikać, jakie nauki w danym kraju kwitną, ile uczonych wypada na 1 miljon danego narodu, jaki jest wpływ tradycji, religji, urządzeń społecznych na rozwój nauki i t p Candolle sądzi, że w ten sposob pojęta „genjologja" jest jedynie pozytywną i ścisłą nauką, bo opartą na faktach, a nie na mniej lub więcej dowolnych i fantastycznych syntezach. Jest to jednak tylko złudzenie: fakt należenia do zagranicznej akademji umiejętności nie jest znowu tak dalece ostatnią instancją, aby wnioski z niego wysnute mogły mieć rzeczywiście ogólne znaczenie, grupa matematyczno-przyrodnicza nie może stanowić o właściwościach uczonych wogóle, wpływ rodziny na członków akademji i ich religja nie mogą być uogólnione do wpływu rodziny i religji na wszystkich uczonych i t p. Nie jest więc ta genjologja tak pozytywną, jak przypuszcza jej twórca. a na dowód niech posłuży mały przykład. Chodzi o to, jaki wpływ wywierają na rozwój nauki nowe budynki uniwersyteckie, ulepszone urządzenia techniki szkolnej, laboratorja i t. p. Jedna strona, *opierając się na faktach*, twierdzi, że zbytek ten ułatwia wprawdzie prace naukowe i stwarza możność wykonywania dokładniejszych doświadczeń, ale za to zniechęca uczonych stojących osobno, którzy nie rozporządzają takiemi środkami. Dlatego *Haeckel* twierdzi, że wewnętrzna wartość ogłoszonych dzieł naukowych stoi w odwrotnym stosunku do wielkości instytucji i wspaniałości ich urządzeń. Wspomnieć trzeba tylko o ciasnych i ubogich pokojach, w których pracowali Baer w Königsbergu, Schleier w Jenie, J. Müller w Berlinie, Liebig w Giessen, Virchow w Würzburgu, i Gegenbauer w Jenie, twórcy nowych dziedzin naukowych. Również przykład Darwina świadczy o tem. Druga strona (Candolle), opierająca się również na faktach, utrzymuje że obfite, materjalne środki i dobra organizacja zakładów, (bibljoteki, obserwatorja, laboratorja, zbiory i t. p.) wpływają korzystnie na rozwój nauki.

Mimo więc tego, że teoretyczna budowa o genjuszu, jako całość jest nieudała, przecież znaleźć można w książce Candolle'a wiele spostrzeżeń trafnych i ciekawych. Np. jako główny cel nauczania uważa autor nietyle wlanie w uczniów pewnego zasobu wiadomości, ile pobudzenie *żądzy wiedzy*. Jeżeli rodzina lub szkoła zadaje dziecku pytania, lub wprawia je w takie położenie, aby sobie samo pytanie zadawało, to przez to pobudza się silnie ową żądzę. Jeżeli zaś mówi się mu nieustannie, że tym lub owym nie powinno się zajmować, że nie powinno być ciekawe, że rodzice lub nauczyciele sami już to zagadnienie rozwiązą, że jest rzeczą niepotrzebną lub szkodliwą badać to, czego się nie rozumie, to pragnienie wiedzy się zmniejsza, a umysł przyzwyczaja się powoli do obojętności lub obawy. W miarę tego, czy rodzice i nauczyciele opowiadają dzieciom powiastki i bajki, albo rzeczy prawdziwe i realne,

---

... *i w cieniu skrzydeł Twoich nadzieję mieć będę aż nieprawość przeminie...*

M a r k i z a. Pytałam Boga:—Jakże to? Jaką sprawę umyśliłeś między Tobą a mną? Ty wiesz i ja i pan Sainte Croix, któregoś mi posłał. Inni nie wiedzą. Gdyby odkryli: zbrodnia! zbrodnia! zbrodnia! Jakże to, Boże?

Nieodgadniony mówił:

— Gardź. Skułem świat ćwiekami. Oni widzą tylko głowice ćwieków Jak daleko sięgają, w co wchodzą, co broczy rozdarte — czy wiedzą? Wzgardź. Znam tajemnicę zła i dobra — ja jeden. Poznasz, gdy wrócisz do Posyłającego.

Ja:

— Boga?

On:

— Nie mów: Boga ani Szatana — jest jedność... Niema granic... Jest głód wieczysty. Tyś głodniejsza nad inne... Żresz ogień, o moja córko wybrana. Weszłaś w morze traw płonących, przy którym inni grzeją ręce oziębłe. Truchlejesz.. Podnieś głowę, Marjo Magdaleno..

...Płynęły lata... Żyłam w objęciach pana Sainte Croix... W rozkoszy śmierci t a m t y c h...

„Marjo Magdaleno" — przemówił do mnie głos cichy, głos łagodny jak harfa. „z a b i j s i e b i e"...

Chlusnęła rozkosz.. Serce me wrzasnęło... Lecz zaraz potym owiał mnie czad, jakby trucizny i zapach sadu brzoskwiniowego. Rzekłam w ciemność:

— Nie. Gdy raz przeżyję Śmierć — nie zdołam przeżywać jej dnia i godziny, gdy pożądam. Jestem kochanką Śmierci i pana Sainte Croix...

To nie on... nie pan Sainte Croix... to ja potrułam obu braci moich... to ja trułam siostrę moją Teresę... i wielu... wielu innych. Lecz jako że byłam narzędzie w ręku Nieodgadnionego, więc dał mi On usposobienie wesołe, wdzięk serafic̨zny, uśmiechy czarujące. Kładły się u stóp mych ser-

pobudzają umysł ich w kierunku fantazji i sztuki, albo prawdy i nauki. Candolle sądzi, że z punktu widzenia moralnego ten ostatni kierunek jest lepszy, gdyż wytwarza większe zamiłowanie do prawdy, więcej zaufania i pewności w stosunkach społecznych.

(D. n.) *Dr. Bronisław Biegeleisen.*

Thomas H. Huxley: **Zasady fizjologji.** Przełożył D-r Adam Lande. Warszawa, 1912. Nakład Henryka Lindenfelda.

Ścisłość w spostrzeganiu, dokładność rozumowania, opieranie się w wyprowadzanych wnioskach na spostrzeganych faktach — są to właściwości studjów przyrodniczych, przyzwyczajające umysł do pracy samodzielnej, do krytycyzmu w ocenianiu wartości i znaczenia każdego spostrzeganego zjawiska. Ponieważ poznanie otaczającego nas świata stanowi istotę nauk przyrodniczych, to nie można sobie wyobrazić owocnej pracy ekonomisty, socjologa, prawodawcy, którzyby w swych badaniach za podstawę nie brali danych, dostarczanych przez wiedzę przyrodniczą. Stąd potrzeba ciągła książek przyrodniczych, któreby w formie zwięzłej przedstawiały współczesny stan oddzielnych gałęzi przyrodoznawstwa. Potrzeba ta jest szczególnie paląca u nas, gdzie ogólny poziom wiedzy jest niski, gdzie poleganie na autorytetach jest tak powszechne, krytycyzm, do którego przyzwyczajony jest umysł wykształcony przyrodniczo, tak niezmiernie rzadki.

Z zadowoleniem więc należy witać zjawienie się każdej książki, która tej potrzebie umysłowości naszej zadość czyni. Taką książką są wydane niedawno „Zasady fizjologji" Huxley'a w tłumaczeniu D-r Adama Landego. Książka ta jest wybornym przykładem popularnego opracowania podręcznika naukowego: bez wielkiej ilości słów, bez czczej gadaniny, którą tak często niektórzy autorzy uważają za nieodzowny warunek popularyzacji, daje powyższe dzieło dokładny obraz spraw, zachodzących w ustroju człowieka. Dwanaście wykładów obejmuje całokształt czynności ciała ludzkiego: W wykładzie pierwszym mamy ogólne pojęcie o budowie i czynnościach ciała ludzkiego, wybornie ujęte i przedstawione. Następne rozpatrują kolejno sprawy ogólnie poruszone w wykładzie pierwszym, a więc: układ naczyniowy i krążenie krwi, krew i limfę, oddechanie, przy opisie którego zwraca uwagę niezmiernie jasny obraz mechanizmu oddechania, czynności wydalania, odżywiania, ruch i fizjologja mięśni; wykłady ósmy, dziewiąty, dziesiąty i jedenasty obejmują narządy zmysłowe i układ mózgowy, wykład dwunasty naukę o drobnowidzowej budowie tkanek. W dopełnieniach znajdujemy niektóre dane, pominięte w wykładach i rozszerzające wiadomości w nich zawarte.

Zarzut, jaki możnaby książce uczynić, to braki w zarejestrowaniu niektórych nowszych zdobyczy, np. niedostateczne opracowanie nauki o fermentach, zupełne pominięcie zmian krwi, występujących pod wpływem drobnoustrojów, wprawdzie jest to pewne wkraczanie w dziedzinę patologji, ale są to zjawiska tak ważne pod względem bjologicznym wogóle, że nie można sobie wyobrazić obecnie opisu badań krwi, nie uwzględniających tych danych. Poza tymi usterkami podręcznik najzupełniej odpowiada swemu zadaniu i, zastrzegając się, że jest on dostępny dla czytelnika, mającego początkowe wiadomości z fizyki i chemji, musimy go najgoręcej polecić wszystkim zajmującym się fizjologją człowieka.

Dr K. P.

POEZJA.

Oczy.

Spotkaliśmy się w spojrzeniu.

Przez jasne-ć czoło przepłynęła łuna
Jakgdyby jutrznia przyszłych pocałunków, —
Ale ją zwiałaś i w włosów twych cieniu
Zginęła...

---

ca... Byłam zorza, zawieszona nad oczyma: nabierały blasku źrenice ich patrząc, ślepły i umierały. Oskarżają mnie o bezbożność. Chcecie wiedzieć prawdę? (głośno) Nikt tak żarliwie nie obcował z Bogiem, jak ja..

S p o w i e d n i k. Oddal szatana pychy od [illegible]

M a r k i z a. Ojcze, ten łotr Desgrais patrzy na mnie... Zasłoń mnie...

(Duchowny osłania Markizę).

M a r k i z a. Kto raz zachłysnął się — umierał. Poczęstowałam kawalera de Guet pasztetem z gołębi. Twarde w nim było życie! Cherlał jeszcze trzy lata — aż padł. Nie ludzka to była sprawa: byłam niemy miecz boży. Żądło pana Sainte Croix było śmiertelne. Próbowano tych trucizn na wodzie i na ogniu! Nikt nie doszedł prawdy. U otrutych żołądek był czarny jak sadze. Lśnił jak aksamit. Wątroba obłożona płatami rdzy. Pragnienie jak pożar... Umierali z popękanymi wargami, z których krew broczyła... Trucizny nie znajdowano... Umie Bóg ukrywać ślad swej stopy gorejącej... (szeptem) Gdym cudzołożyła z Sainte Croix, zamknięte we flakonach trucizny śpiewały: T e D e u m l a u d a m u s...

G ł o s S p o w i e d n i k a (który się modli). *Oto oddaliłem się, uciekając i mieszkałem na pustyni...*

M a r k i z a. Mieszkałam w cieniu Nieodgadnionego. Nie roztrząsałam Jego zamiarów. Byłam prosta, stałam się śmiała. Za to dał mi szczęście niedostępne dla duszy trwożliwej. Żyłam w wirydarzach rozkoszy. Czemu mnie opuścił?..

(zapada w odrętwienie).

Pan Sainte Croix ginie, gdy preparował truciznę. Spadła mu z twarzy maska szklana. Padł, jak rażony gromem. Wydało się. Znaleźli szkatułę z truciznami... moje listy.. Uciekłam do Leodjum. Schroniłam się do klasztoru. Mieszkałam w kraju barbarzyńców. Opłakiwałam moją

Z jutrzni-zwiastuna
Słońce skwarnego rumieńca
Nie wzeszło,
Boś w cieniów toń zapadła cała
I brwiami noc na twarz przyzwała,
Gorącą noc letnich zmroczy.

Ledwie, że dałaś paru błyskawicom
Przez zaszłe zmierzchem oczy
Przepłynąć, —
A w parne dale wtopić się, wmgleć, zginąć...

I ciemnią czysta a bezgwiaździsta
Przecicha głębią jak morze
Stężała noc na twej twarzy,
Gorąca noc letnich zmroczy.

A nawet przed nią skryłaś rzęs kotarą
Pierwsze miłości naszej łoże:
Twe oczy — — —

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI.

POD ŚWIATŁO.

№ 2-gi. „Wielkości" u siebie.

W ślicznym pokoju „wielkość" płci, że tak powiemy, niewieściej, półleży na fotelu „i się buja"... Wielkość robi to z widocznym zamiłowaniem, gdyż skłonność do bujania odziedziczyła po całej familji. Naprzeciw, na otomance z podwiniętą jedną, ale zato grubą, nogą, siedzi przedstawiciel finansjery i pali cygaro.

Przed. fin. Ja ci już powiedziałem, co takiego postępowania, takiego lekceważenia takiego człowieka jak ja... Co? Czy ja to mogę znieść? Czy ja to powinienem znieść?... Ja się nie spodziewałem... Aa... przepraszam, ale się nie spodziewałem!... Każdy glupiec przyzna mi słuszność... Bo ja cię przepraszam, ale czyje to mieszkanie?

Wielkość płci niew. Moje.

Przed. finans. A kto za nie płaci?

W. p. niew. Ty wiesz chyba...

Przed. finans. Ja myślę! Ja mam nie wiedzieć, że ja sam za to mieszkanie płacę?! To mi się podoba!...

W. płci niew. Tymbardziej.

Przed. finans. Co to znaczy tymbardziej?

W. płci niew. Tymbardziej powinieneś być grzeczny?

Przed. finans. Ja jestem nie grzeczny??? To dobre! Mam może na kolanach chodzić we własnym mieszkaniu? Co?? Che, che, che — to się uśmiałem! To pretensje są do takiego człowieka jak ja!... A czy ty wiesz, że cały teatr zazdrości ci mojej osoby?... Cały teatr — i gdybym tylko chciał, tobym kiwnął...

W. płci niew. Palcem w bucie.

Przed. finans. Palcem w bucie?... To się mylisz. Ja nie potrzebuję kiwać palcem w bucie, bo ja mam pieniądze. Ja was wszystkie mogę kupić!...

W. płci niew. O! tylko nie bądź brutalny!

Przed. finans. Kto jest brutalny? Ja jestem brutalny?... Także coś?... Brutalny to jest dorożkarz, a jeżeli ty mnie porów... porówny... po... porównywasz... porównywujesz do dorożkarza, to niech ci dorożkarz kupi tualetę do tej nowej sztuki, co ją masz grać.

Wielkość płci niewieściej zamyka mu usta słodkim pocałunkiem.

Przed. finans. Oj, jaką ja mam słabość do ciebie... Ty umiesz postępować, ale bądź co bądź, ja ci powiadam: słuchaj Zosiu, ty nie graj w tej oryginalnej, dramatycznej sztuce!... To nie dla ciebie! To drogo będzie kosztowało, a niewiadomo jak pójdzie. My sobie zagramy... w Sardou... to więcej znany autor... od tego — jak on się nazywa?..

W. płci niew. P... ski

Przed. finans. P... ski? No, więc co? Ty masz zaraz grać ty nie jesteś wielką aktorką?...

Służąca wchodzi i podaje bilet.

Ten pan czeka w salonie.

---

piękną Francję. Wtedy przypełzł ten gad... w sutannie księdza. Pocieszał mnie... żartował... podziwiał.. śpiewał: o lire, o lire, o lire, o la! Porwały mnie siepacze tego oprawcy... uwiozły gwałtem... (skazana wychyla twarz zza ramienia księdza, grozi oczyma) (głośno) Markiza de Brinvilliers zgrozą żyć będzie w pamięci wieków... Ale ty nikczemny.. ty! O tobie wspomną z obrzydzeniem! Oplują pamięć zdrajcy Desgrais!...

Desgrais (zwraca się do kata): Mistrzu zdław gardziel trucicielce [1]).

[1]) Rząd francuski wysłał za zbiegłą markizą ajentów policyjnych, lecz ta schroniła się do klasztoru, a klasztory w owych czasach uważano za nietykalne. Jeden z ajentów Desgrais zaczął bywać w klasztorze w przebraniu za księdza. Udawał zakochanego, pozyskał zaufanie markizy i wywabił ją z klasztoru na wycieczkę zamiejską, podczas której została pani de Brinvilliers porwana i uwieziona do Francji.

(Kat milczy, nieruchomy).

Markiza (znów chowa się za ramię duchownego). Zniosłam potrójne spytki: wody! ognia! powroza! Potem w koszuli, z tym strykiem.. z gromnicą ciężką... Ręce mi mdlały i płakały... Ja zbrodniarka... ja markiza de Brinvilliers odbywałam skruchę... w kruchcie katedry... na oczach gawiedzi... Lecz nie...

(wznosi głowę i oczy w górę):

— Jeżeli Tyś chciał... jeżeliś się ukazywał... jeżeli słyszałam głosy trąb i cymbały i flety, czemu teraz milczenie w górze? Gorzki popiół na wargach... (szeptem) Czyżby niebo moje było puste?

Głos Spowiednika (który się modli) ...*Wykopali dół przed obliczem mojem i wpadli weń...*

Markiza (patrzy na róg ulicy) Moje znajome.. Ha.. ileż ich tu! Wyciągają szyje jak gęsi. Postrojone... w lokach... w robronach... (głośno do tłumu arystokratek):

Przed. finans. Co za pan! Jaki pan?

W. płci n Ten... autor.

Przed. finans. Autor?... I co on chce?

W. płci niew. Przyszedł się zapewne dowiedzieć, czy będę grała w jego sztuce.

Po chwili wchodzi majestatycznie do salonu

Autor (nieco zmieszany) Bardzo przepraszam, że pani przerywam zapewne ranny wypoczynek! Tak wielka artystka...

W. płci niew. No, nie jest tak wcześnie. Bardzo dobrze, że pan przyszedł... Pragnęłam z panem pomówić o sztuce... Sztuka bardzo ładna — i jabym z chęcią grała, ja zawsze popierałam młode talenty, ale nie mogę..

Autor Dlaczego?

W. płci niew. Widzi pan... znów takie brudy, brrrr.. Ta córka, młoda malarka, sprzedaje się jakiemuś kupcowi... Czy to możliwe?... O, pan zanadto pesymistycznie patrzy, za czarno, za czarno. Ta córka, żyjąca z żydem..

Autor Więc pani nie będzie grała, a ja tak liczyłem?..

W. płci niew. Niech mi pan wierzy... że, że nie mogę... Sztuka sama napisana z talentem — ale taka... ponura... Więcej słońca panie!... No, dowidzenia. A... egzemplarz... to będzie do odebrania jutro , u mojej kucharki. Bardzo mi miło było poznać pana! Ja zawsze popierałam młodych autorów!...

W poprzednim pokoju:

Och! co za nudziarz!...

Przed. finans. No, ale się od niego uwolniłaś, 600 rubli zostało ci w kieszeni. A ja ci za te pieniądze dam coś takiego... coś takiego, że... zgłupiejesz... A co Zosia mi da?...

St. Kiedrzyński.

KRYTYKA.

„Opoka".

(Powieść Kazimierza Zdziechowskiego).

Liczba powieści, osnutych na tle rewolucji, mnoży się z każdym rokiem. Życie nasze powraca w normalne łożyska, otrząsa ślady porewolucyjnej apatji, poszukując nowych dróg ujścia dla energji społecznej. Na tle odmiennych warunków życiowych wytwarzają się już, niewątpliwie, nowe typy duchowe, nowe ukształtowania psychologiczne. Byłoby może słuszniejszym, by powieść społeczna usiłowała trzymać rękę na pulsie współczesnego życia, usiłowała odkryć kiełkujące we współczesności zarodki przyszłego rozwoju, zamiast powracać wciąż do chwil, chociażby tak niedawno, minionych i na ich tle budować konstrukcje teraźniejszości. Ukrywa się pod tym niesłuszne domniemanie, jakoby wszystko co przed naszymi oczyma się dzieje, było nieznaczącym i niegodnym uwagi, że wciąż niewolnie znajdujemy się w odpływie tej olbrzymiej fali, której wezbranie tylko było samorzutnym wynikiem usposobień duchowych naszej epoki.

Zdaje mi się, że wspomniane zjawisko jest bezpośrednim skutkiem innego, a mianowicie — iż literatura, poza nielicznymi wyjątkami, bywa zwykle maruderem swego czasu. Zwraca się do form życia już ostatecznie ukształtowanych, ujawnionych — i przeminionych lub przemijających.

Rozdźwięk pomiędzy literaturą a życiem bywa wskutek tego częstokroć rażący, zwłaszcza w okresach przełomu. Gdy odczuwamy najsilniej mocne uderzenia tętna życia obecnego, literatura przynosi nam — jakżeż blade w świetle nowego dnia!—odbicia naszego duchowego wczoraj. Tak było w latach od dziewięćset czwartego po szósty. Może twórczość owych lat nie była gorszą niż poprzednio, zwłaszcza w innych, dalekich od ówczesnych wypadków, dzielnicach kraju. Nam — wydawała się zwiędłą i bladą.

Upłynąć musiało lat parę, zanim zmieniła się orjentacja naszej literatury. Gdy z jednej strony dochodzić zaczęło mocne i piękne smutkiem podzwonne minionej chwili, w dziełach Struga lub Katerli, z drugiej — piszące panie i „indywidualnie czujący" panowie poczuli, iż prawo przystosowania nie omieszkało dobroczynnych swych wpływów i na nich rozpostrzeć, że wiekuiste perypetje ich duszyczek niemniej wdzięcznie zarysować się mogą na pożarnej, ognistej łunie przeżytego momentu, jak i na dawniejszym tle życiowego zastoju. Nie potrzeba więc dla zachowania „artystyczności" swych duszyczek ginąć na

---

— Moje panie, zaiste piękny to widok dla waszych oczu ciekawych!..

G ł o s   S p o w i e d n i k a (który się modli) *Boże! Boże mój! Do ciebie wołam na świtaniu... Pragnęła Cię dusza moja i ciało moje w ziemi pustej i niedrożnej i bezwodnej.*

M a r k i z a. Idzie za mną oczu ich chmura.. Idę w morze... W jego fale zepchnęłam tylu.. Szmer... skrzydła łopocą... Krocie głosów skarży się... łka... Płomienie pełzają po skałach... W mrok idę czy w blask gwiazd nowych?..

(zapada w odrętwienie, ocyka się, znów czujna:)

Czy wśród tych tłumów, wśród tylu kobiet, wśród tylu dziewcząt jest która jak ja wybrana i odepchnięta? (błądzi oczyma po twarzach; znajduje twarz niemą dziewczynki — skromną, zakłopotaną.) Życie moje było pomyłką daremną. Mogłabym mieć taką cichą córkę... być inną... (prostuje się) Nie... Żyłam jak tygrysica.. nie będę zazdrościła owcy... (patrzy na dziewczynkę) Miłe stworzenie.. Całe życie prześni z lilją w ręku... Gdyby nie stryk... gdybym kwiat miała na piersiach... Rzuciłabym jej kwiat — jałmużnę...

(pochyla głowę, szepcze):

Oni? Czyżby odgadli mój ruch i serce?..

(Wóz wtacza się na P l a c e   d e   G r è v e. Milczące tłumy. Szafot. Dzwony dalekie.)

K O N I E C

„Ucztach Baltazara“ lub przy boku „Króla Andrzeja“ z rąk „motłochu“— i wogóle z milej sercu samotni osobistych przeżywań (częściej przeżuwań) wychodzić na szerokie przestworza wielkich pomysłów, na których, jak na niepomiernie wielkiej scenie, chyba szerokiego rozmachu i patetycznego gestu Wiktora Hugo potrzeba, by nie zatracić się zupełnie. Bo nieznacznego przystosowania do tła, kilku jaskrawych plam wystarcza, by znaleźć się na wyżynie swego czasu i już bezpiecznie opowiadać po raz tysiączny i pierwszy historję tej lub innej „pani Zdeńki“, każąc jej jedynie dla kompromisu z wymogami czasu w przerwie pomiędzy ostatnią „żrącą tęsknotą“ a pierwszym „palącym uściskiem“ być napastowaną przez „fanatycznego agitatora“. I jest to bodaj nieznaczną tylko zmianą rekwizytów, gdy taż lub podobna pani Zdeńka ogarnia „płomieniem wszechpotężnego pożądania“ jakiegoś Atlasa społecznego pokoju, którego wzburzone fale społecznego zamętu niezdolne są strącić z piedestału uroczystej cnoty, zamiast podsuwać temuż pod stopy jakieś inne, niemniej uroczyste koturny.

Gdy zaś stało się już niezbitym, że Połaniecki może szukać sobie żony nawet w zamęcie strejkowym, a bodaj że i tak dotkliwy strejk dorożkarzy i posłańców nie zdoła mu przeszkodzić w konkurach; gdy pewnym się stało, że Bukacki, filozofując o rewolucji, wprawdzie też nic ciekawego nie powie, lecz nabierze za to powagi i namaszczenia — kwestja została przesądzoną i zdecydowaną: „wypadki“ zyskały spóźnione nieco prawo obywatelstwa w literaturze.

I nietylko jako tło, lecz nawet jako rdzeń powieściowego pomysłu, odkąd ich „syntezą“ karmić nas począł Weyssenhoff, jak jego bohater łabędzie — na holenderskich kanałach.

Lecz jest to literatura, w której rewolucja widziana jest od zewnątrz, gdy natomiast rozlewna dusza pani Zdeńki rości sobie wyłączne prawo do rozpościerania przed nami swego wnętrza. Inny rodzaj pragnie przedstawić wypadki rewolucyjne i kierujących nimi ludzi, jako produkt własnej obserwacji autora, poza którą domyślnie tkwi taki lub inny „sens moralny“.

W tym wypadku mamy do czynienia z interesującym splotem samozłudzeń autora i czytelnika. Złudzenie pierwsze polega na pozorze bezwzględnej bezstronności obserwatora, który czyni swe spostrzeżenia bez względu na ich możliwy wynik, podczas gdy ten właśnie wynik przewidziany jest i ustalony od początku i każe autorowi dobierać te a nie inne „obserwacje“. Następnym z kolei jest złudzenie „obserwacyjności“. Czytelnik pragnie skonstatować zgodność powieści z „rzeczywistością“, autor zaś — insynuować czytelnikowi, iż po za zmyśloną grą wydarzeń kryje się niepodrabiana rzeczywistość usposobień psychicznych, oparta na szeregu istotnie poczynionych spostrzeżeń.

Dopóki obracamy się w sferze uczuć i usposobień najpowszechniejszych, ogólnoludzkich, dopóki akcja zewnętrzna czerpie swe podstawy z typowych zwyczajnych wydarzeń, czytelnik istotnie obraca się w nieokreślonej, lecz bądź co bądź faktycznie istniejącej dla niego sferze „rzeczywistości“. To znaczy, że doświadczenie psychologiczne czytelnika zakresem swym odpowiada doświadczeniu autora. Im więcej powieść ograniczać się będzie na zdarzeniach psychicznych typowych, codziennych, im mniej zapuszczać się będzie w dziedzinę możliwości duchowych t. j. usposobień, których wprawdzie nie napotyka się na każdym kroku, ale które przewidzieć, pomyśleć się dają, jako możliwe, im mniej przeto odbiega autor od szarzyzny życiowej w dziedzinę bohaterstwa, szczytności, wzniosłości duszy, — tym staje się bardziej „naturalną“ w przeświadczeniu czytelnika.

Skoro zaś — jak to ma miejsce w omawianym rodzaju literatury — sfera tej nieokreślonej „rzeczywistości“ zacieśnia się do pewnej dziedziny zdarzeń zewnętrznych i usposobień psychicznych, powstałych na tle tych zdarzeń, równowaga pomiędzy zasobem spostrzeżeniowym autora i czytelnika zostaje naruszoną. Autor kreśli spostrzeżenia z dziedziny, która jest — lub powinna być mu znaną, czytelnik przyjmuje jego utwór, jako przewodnika w sferze nieznanej całkowicie, lub znanej mu jedynie częściowo. Kontrola czytelnika polegać może jedynie na poczuciu pewnego prawdopodobieństwa możliwości współistnienia pewnych cech psychicznych w danej postaci, wreszcie na częściowej zgodzie akcji ze znanemi czytelnikowi ze strony faktycznej wypadkami. Tak np. czytając powieść historyczną nie możemy sądzić o prawdopodobieństwie poszczególnych postaci utworu na zasadzie porównania ze współczesnymi nam typami ludzi, pozostaje nam jedynie możność, dosyć zresztą nie określona i chętnie nadużywana, decydowania czy dana postać jest jednolitą i czy nie posiada wewnętrznych sprzeczności w duchowej swej strukturze. Nadużywana — powiedziałem — dlatego, iż nazbyt chętnie ograniczamy sferę możliwości w dziedzinie duchowej, iż gotowi jesteśmy najskorzej zakwestjonować wszelką niezwykłość, odrębność, niepowszedniość. Zagłoba będzie dla większości czytelników prawdopodobniejszy od księcia Gintułta. Ze strony zewnętrznej — czytelnikowi pozostaje możność o wiele większa: sprawdzenia, czy w danym momencie historycznym, w ramach ówczesnych dziejowych wydarzeń, mogły się dziać wypadki, służące za kanwę powieści.

Wreszcie, dla bacznego i uważnego czytelnika otwiera się możność, po poznaniu ogólnego tła dziejowego, skonstatować, o ile odchylenia w psychologji postaci utworu od zdanych nam typów duchowych wynikają z różnicy warunków dziejowych, różnicy środowiska.

Toż samo da się zastosować do powieści, zwłaszcza gdy chce ona ująć tak wymykającą się bezpośredniemu zetknięciu i wszelkim obserwacjom sferę zjawisk, jak wypadki rewolucyjne. Czytelnik ma wszelkie prawo kwestjonować, naprzykład, sumienność autora „Wirów“, gdy w końcu drugiego tomu opisuje pogrom prywatnego mieszkania, urządzony przez Laskowicza, lub samą możliwość istnienia takiej — jak Laskowicz postaci. Z kolei, gdy przerywa się już nić własnej orjentacji czytelnika, gdy musi on zdać się na wiarę autora, wolno nam, czytelnikom zapytać, czy istotnie autor ma prawo być mu przewodnikiem w nieznanej dziedzinie? jakie są jego dane do własnej w tej dziedzinie zjawisk orjentacji? Wyniki takiego zapytania w zastosowaniu do autorów powieści „rewolucyjnych“ będą w większości wypadków ujemne.

Rewolucja interesuje owych autorów przeważnie ze swej strony sensacyjniej. Zamachy, zbrojne napady, rozruchy uliczne —wszystko co działa na zmysł ciekawości — to jedyna niemal sfera zainteresowania. Ciekawość psychologiczna ustępuje na plan drugi. Po za sensacyjnymi, lub ze strony swej sensacyjności rozpatrywanymi — zjawiskami, kryją się jacyś ludzie, organizacja, istnieje jakiś spirytus movens, ukryta sprężyna tego, co się dzieje na widowni. Zainteresowanie autora nie przekracza

głębi Conan Doyle'a. Specyficznie nasza, swojska obłuda nakazuje podać sensację w sosie moralnym.

Konstruuje się więc postaci ludzkie naprędce, przyjmując za podstawę z jednej strony wiadomostki reporterskie i plotki, z drugiej — inwektywy publicystyki. Powstaje tą drogą typ „rewolucjonisty", jakim go chce mieć czytelnik, typ na martwym szablonie oparty, wewnętrznie próżny wszelkiej treści, zewnętrznie podcharakteryzowany tak, aby imitował żywego człowieka.

Czy wogóle możliwą jest obserwacja typu, siłą rzeczy wyłączonego z wszelkiego obcowania, ukrytego, tajemniczego? A wreszcie cóż mogłaby dać zewnętrzna, przypadkowa obserwacja, gdyby nawet była możliwą? Aby podobny typ zrozumieć należałoby być nie tylko z nim, lecz i w nim, żyć zbiorową psychiką tej wyosobnionej gramadki. Lecz porywać się na zobrazowanie typu, którego się nie zna zewnętrznie a nie rozumie i nie czuje wewnętrznie — na to trzeba być nie artystą lecz rzemieślnikiem literatury.

To też pocieszny to przeważnie widok tych wysiłków, w których deprawują się szczere nawet talenty, zastygają w manierze, zyskując wzamian poklask moralizatorów i partyjnych przeciwników rewolucji. Może dlatego to ten rodzaj literatury tak jest paszkwilowy, niski, lokajski, nieszczery. Smutnym tego przykładane są najgłośniejsze tego rodzaju utwory „Wiry" i „Hetmani".

Należałoby raz już stwierdzić niezbicie, iż jedynie uprawnionymi do podejmowania w sztuce tych tematów są ci, którzy ideowo pokrewni są ludziom i zdarzeniom minionej niedawno chwili. Nie będzie to literatura agitacyjna: wszak cała twórczość Katerli, Struga, wreszcie Sieroszewskiego lub Daniłowskiego, ma w sobie smętek pogrzebowy. Jak w słynnej balladzie Zedlitza, chwała miniona występuje w całym uroku minionej przeszłości, w świętej chwale zatracenia. Jest to „nocna rewja" mar, które złożono już w grobie, i dziś we wspomnieniu przychodzą jeno po ten hołd, który się należy „au courage malheureux". Te nieliczne odźwięki ich losu w sercach szczupłej garstki artystów, to jakby te — w pięknym pośmiertnym urywku Orzeszkowej — trzy wieczorne głuche uderzenia dzwonu za tych co pomarli kiedyś — i o których już nikt nie wie i nikt nie pamięta.

Życie stoi u wrót, za którymi w głuszy nocnej trwa „rewja nocna". Skoro świt—wkroczy w swym niewstrzymanem pochodzie. Zapóźno z kamieniami niesławy i nienawiści przychodzić na bezimienne mogiły, których ślad już nawet zniknął.

Nowa powieść p. Zdziechowskiego nie przynosi nic nowego, nie wykracza po za scharakteryzowany już szablon. Autorowi zda się przyświecać przedewszystkiem tendencja moralizatorska, maskowana pod rezygnacyjnym uśmiechem filozofa. Poglądy p. Zdziechowskiego wikłają się nieuchronnie w antytezach: doktryna — życie, walka—doskonalenie się wewnętrzne, wiara — obojętność religijna. Więc po jednej stronie — doktrynerstwo, niewiara, złe czyny — później pokuta, po drugiej — praca „w swoim kółku", oparcie się na „opoce" wiary. Rezultat artystyczny — zupełna martwota typów, w przekonaniu autora—ujemnych. Rewolucjonista Śmiałowski po za doktryną jest szablonowo prostolinijny, charakterystyczny tylko dzięki czarnej bluzie i układowi czupryny.

Wszelka charakterystyka — wyrażona zresztą nie w akcji, ale w opisach autorskich— pozbawiona jest pełni życiowej, jaką posiadać musi każdy typ istotnie artystycznie pomyślany. Czuje się, iż autor moralista zgóry zaznaczył sobie: oni są tacy, do gotowego rezultatu dorobił żywe ilustracje. Te ilustracje w rękach autora działają ze sprawnością automatów i dokonywają z łatwością nadzwyczajnych metamorfoz duchowych. Są zało niezłożone jak automaty. Całe bogactwo, głębia, rozmaitość przejawów psychologicznych podobnych typów pozostaje dla autora dziedziną absolutnie nieznaną, niepomyślaną nawet. Dosyć zestawić analogiczne ustępy z „Dziejów posisku" Struga i powieści p. Zdziechowskiego, np. opis zamachu. Nawet najbardziej p. Zdziechowskiemu sympatyczna postać hr. Ścibora jakże obcą pozostała autorowi, jak niepogłębioną; pozbawioną własnego życia! Raz po raz na dziesiątku stronic za hr. Ścibora rozmyślać musi — sam autor.

Szeroki plan powieści, jaki autor sobie zakreślił, zdaje się być ponad siły jego. Wywarza się przez to nużąca monotonja obrazów, z których żaden siłą swą nie pociąga i nie może stać się punktem ośrodkowym, przeplatana litanjami refleksji, rozmyślań autorskich i opisów, mających zastąpić żywy tok akcji. Obrazowanie autora jest sumienne, pracowicie sumienne. Szczegół każdy jest spostrzeżony, zaznaczony i prześladowany. Obraz każdy ze szczegółów takich się składa i autor zdaje się wierzyć, że w ten sposób trafi on do pamięci czytelnika, zaniedbuje bowiem p. Zdziechowski wszelkiej perspektywy, wysuwania na plan pierwszy, podkreślania. W jednej wizji, w jednem wrażeniu wyrazić całość, zdaje się, nie potrafi. Może dlatego jego kompozycja jest nietyle szeroka, co rozwlekła.

Utwór, wysnuty z martwych, obcych sztuce założeń, nie mógł oczywiście przynieść rezultatów dodatnich. Należy jednak zaznaczyć, że mimo całej chwiejności podstaw moralnych, na których zbudować usiłował p. Zdziechowski swą „Opokę", z powieści bije pewna powaga, która nakazała autorowi trzymać się w mierze w kreśleniu niesympatycznych mu typów. Ustrzegł się on szczęśliwie wybryków pamfleciarskich, które gdzieindziej tak brudną plamą szpecą sumienia autorskie pisarzy, podejmujących tematy o analogicznej tendencji.

Jan Dąbrowski.

Teresa Lubińska. **Nie wiedziała.** Powieść. str. 354. Warszawa, 1912. Nakład i własność L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza.

Bohaterka p. Lubińskiej nazywa się Krysia. Chowa się ona w nienormalnych warunkach. Matka umarła Krysi jeszcze za jej dzieciństwa, pozostała więc nasza bohaterka na łasce i niełasce służby. Czasami zajrzy ojciec do dziecinnego pokoiku, popieści, utuli swoją dziecinkę, aż wreszcie z biegiem lat staje się Krysia jego ulubienicą. Wychowanie odbiera staranne, lecz zupełnie życiowo nie praktyczne. Po śmierci ojca idzie pracować, jako kasjerka do magazynu dywanów, później przepisuje jakieś niepotrzebne papierzyska byle zarobić parę guldenów na utrzymanie. Za mąż wychodzi za adwokata, żyje z nim lat kilka, jest nawet szczęśliwa, ma dzieci, lecz oto dowiaduje się że mąż jej oddawna jest nieuleczalnie chory. Wiadomość ta unicestwia cały dotychczasotryb jej życia, prowadzi nawet do tego, że Krysia opuszcza dom swego męża. Wraca do niego, lecz już wtedy, gdy paraliż zmarnował, powykrzywiał jego ciało, unicestwił jego władze umysłowe. Takiego idjotę obwozi, jako siostra miłosierdzia po

plantach Krakowskich i... martwi się, czemu nie wiedziała o życiu wszystkiego, czemu jej nie nauczono, nie uświadomiono o tym, że ludzie są płciowi, że... dr. Erlich mieszka w Wiedniu, a lecznice są we wszystkich miasteczkach Europy.

Smutne są stronice książki p. Lubińskiej. Smutne tembardziej, że są niezmiernie prawdziwe. Statystyki lekarskie notują, podobno, aż 4% syfilityków w Berlinie, a Warszawa nie opóźnia się też... w swoim dążeniu do upodobnienia się miastom europejskim.

Tragedja Krysi jest życiowo zupełnie możliwa, prawdziwa. Samo jednak „wiedzenie" nie uratowałoby jej od tego fatalnego wypadku. Nie jest tu bowiem winne tylko wychowanie Krysi Autorka wskazuje i na wadliwość wychowania mężczyzn, lecz... i wtedy fatalne te okropności nie dadzą się wyrzucić poza nawias życia. Ludzkość dotąd nie przezwycięży tych tragedji, dopokąd nie zdobędzie radykalnego środka leczniczego. Moim zdaniem więcej przysłuuje się całej sprawie swoimi doświadczeniami dr. Ehrlich, niż... morały. Bezwątpienia, mogą one mieć jakiś wpływ, lecz o wpływy nie chodzi. Chodzi o radykalne zaradzenie złu, a to może uczynić tylko wiedza medyczna.

Artystycznie ten temat poruszano już nieraz. Brieux w jednym ze swoich dramatów nakreślił te potworne obrazy z życia paryżan. Widzieliśmy też na scenie różnych Margrabiów de Priola. Może to i zmniejszyło liczbę ofiar, lecz przecież nie uleczyło ludzkości z choroby.

Książka p. Lubińskiej zasługuje na przeczytanie. Miejscami wydaje się nawet bardzo zajmującą. Daje bowiem wiele ciekawych spostrzeżeń na tle duszy kobiecej, otacza czytelnika serdecznym liryzmem jakiejs wierzącej, posłanniczej szczerości. Tej to wierze należy przypisać, że autorka odważyła się nieraz kłaść barwy jaskrawe, zbyt realistyczne, brutalne. Może to i lepiej, artystycznie te sceny rażą, lecz mogą wpłynąć agitacyjnie, a przecież o to zapewne autorce bardzo chodzi, to leżało w zakresie zadań, jakie postawiła sobie p. Lubińska.

Eust. Czekalski.

Cypryan Norwid.

Przed kilkunastu dniami miało miejsce w Warszawie wydarzenie, które określić można tylko mianem wielkiego zjawiska kulturalnego (dla wielkości zapewne swojej zjawisko owe do tej pory nie zdołało być zauważone przez nasze brukowe, li aktualności w pieczy mające, kurjery i tygodniki).

Przed kilkunastu dniami wyszedł pierwszy tom *Pism Zebranych* Cypryana Norwida[1]), wyszedł tom pierwszy, prospekt zaś zapowiada osiem „około 200 arkuszy druku, uzupełnionych stu kilkudziesięcioma artystycznymi reprodukcjami z rysunkowej, malarskiej i sztycharskiej puścizny C. Norwida wraz z licznemi podobiznami pisma i portretami poety... Tekst opatrzony będzie przypisami wydawcy, oraz dokładnymi indeksami... w miarę — przewidywanego nagromadzenia się dalszych materjałów w ciągu druku tych ośmiu tomów, — zamierzone są tomy dodatkowe, ile ich będzie potrzeba".

Nie o ilość jednak zapowiedzianych (w dziewięciu dziesiątych nieznanych) utworów chodzi, bo już z tego, co obecnie wyszło jako tom pierwszy, z tego co obejmuje dotychczasową połowę całokształtu liryki Norwida, zaiste „wyjrzało olśniewające oblicze wielkiego, profetycznego twórcy, który ongi, w dobie wyłącznego władania romantyzmu, nową, dalszą, dzisiejszą rozpoczynał epokę; który lat temu kilkadziesiąt, wyprzedzając nietylko nasze, lecz, ogólno — europejskie prądy umysłowe, przynosił i to nie trafem, lecz z całą świadomością i konsekwencją — dziś dopiero w powolnym rozwoju zdobyte lub zdobywane kultury duchowej węgielne kamienie", — „lecz czy te zasługi zwiastuna dni dzisiejszych nie zasłaniają nam człowieka jutra i, kto wie, jak dalekich przyszłości proroka i jasnowidza"? — (rzuca w prospekcie pytanie wydawca—Miriam).

Z zestawień dwuch powyższych też widać cały obszar, całą olbrzymiość i kulturalną doniosłość zjawienia się *Pism zebranych* Cypryana Norwida.

Do zjawiska tego z godniejszą, niż niniejsza notatka, usilnością omówienia sprawy powrócimy w jednym z następnych numerów.

Obecnie zaś z radością konstatujemy faktem *Pism Zebranych* walenie się „muru zapomnienia", jaki między Norwidem a społeczeństwem ulepiła potęga ciemnoty nietylko Nehryngów, Gaszyńskich i Siemieńskich, nietylko Klaczków, Koźmianów i Wężyków, ale i współczesnych „sceptycznie usposobionych" względem „ciekawostki literackiej" różnych t. zw. *Fachowych Krytyków*.

„Zwycięztwo, wieszczone Norwidowi przez Krasińskiego spełniać się poczyna":

Nie odchodzisz na zniknięcie —
Snów twych ujrzysz w żywot wzięcie,
Tyś nie śmierci łup!
Jeszcze wzlecisz skrzydlnym lotem.

Na zakończenie dodać należy, iż zewnętrzność wydawnictwa (pod kierunkiem Miriama) artystyczną swą pełnią przeszła wszystkie dotychczasowe polskie nakłady i z rzadkimi zagranicznymi porównać się może, począwszy od formatu, typu czcionek (Elzewir), stylu przerywników, winjet, inicjałów, — skończywszy na reprodukcjach Norwidowskich, wydawnictwo to jest szczytem u nas nieosiągniętym: wykwintu i prostoty.

[1]) Tom A. *Pisma wierszem, dział Pierwszy. Część Pierwsza*: Iuvenilia, Krąg ideowy, Harfa czyli liryczna i okolicznościowa część poezji. *Część Druga*; Krąg „Quidam", Przypisy wydawcy. Wydał Miriam (Zenon Przesmycki) nakładem Jakóba Mortkowicza. MCMXI Warszawa — str. 1110.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

Niema cierpliwszego narodu niż Polacy, może dlatego, że żaden naród jeszcze nie pił z tak bezdennego morza goryczy. Niema potulniejszego narodu niż Polacy; może dlatego że będąc obezwładnieni, nie mogą się w sposób namacalny i dotkliwy za doznawane obelgi obrażać. Może i dlatego wreszcie, że jego duchowi kierownicy zbyt usilnie, zbyt długo wszczepiali mu przekonanie, że pokora niebiosa przebija, duszę wyaniela i do zbawienia—jeśli nie doczesnego to wiecznego, prowadzi. Są inni, którzy twierdzą, że godność narodowa jest dla takich jak my parjasów zbytkiem, że pokora jest praktyczniejsza, gdyż „pokorne cielę dwie matki ssie". Inni wreszcie, szczerze wierząc,

że nasze własne grzechy do zguby nas przywiodły, nieustannie każą nam się kajać, bić w piersi, przysięgać poprawę, pobożnie pokutę odprawiać i recytują ciągnące się w nieskończoność rachunki narodowego sumienia.

Czas już zaiste zawołać, że te pokutnicze praktyki, to nadużywanie popiołu, dyscypliny i włosiennicy jest karygodnym nadużyciem naszej bezbronności, które tylko fałsz usprawiedliwiać może. Odpokutowaliśmy więcej niż nagrzeszyliśmy, a nie chcemy, nie potrzebujemy cierpieć za winy całego świata. Nie zniesiemy, aby nam każdy sługa Heroda czy Kaifasza w twarz pluł dla sportu i zabawy.

A to wszystko mówi się pod adresem p. Feldmana, wielkiego polskiego nad-patrjoty, który pienił się z oburzenia przez rok i kwartał, gdy pewna część postępowej prasy ośmieliła się krytycznie roztrząsać wady narodowe żydów, dochodząc do zuchwałego zaiste wniosku, że winowajcami nieszczęść swych są oni sami, a jeśli się nie cieszą powszechną sympatją i szacunkiem, powinni sobie postawić pytanie, czy i w jakiej mierze na nie zasłużyli? Pan Feldman widział w tem tylko wybuch antysemityzmu zoologicznego, dla niego bowiem lud wybrany jest nietykalną świętością i doskonałością, jako że pan Feldman jest wielkim patrjotą — podobno polskim. A oto co tenże patrjota drukuje, ośmiela się drukować o Polakach, w artykule traktującym ich jeno jako jedno z plemion słowiańszczyzny, bliźniaczo do wszystkich innych podobne i za nie współodpowiedzialne, — widząc w nich jeden tylko rys zasadniczy — rasę, zupełnie jak gdyby oni byli „ludem wybranym". Autor zaznaczywszy między innemi, że dziedzictwo Słowian kurczy się przeważnie na rzecz rasy germańskiej, gdyż *die Weltgeschichte ist das Weltgericht*, pisze dalej: (*Krytyka* — Marzec):

> Dzieje Słowiańszczyzny są dziejami politycznych absurdów, cechuje je we wszystkim nie wytrwałość, połowiczność, jakieś dziejowe ni w pięć ni w jedenaście, nieudolność zbiorowości słowiańskiej obok świetnych przymiotów oddzielnych postaci historycznych, których prace i czyny zbiorowość zawsze potrafiła ześwinić i zmarnować. Znamiona te mają zawsze za podstawę wady rasy niezdolnej ani panować, ani być z kretesem wytępioną, niezdolnej ani żyć, ani przyzwoicie umrzeć, przeżywającej wciąż jakiś splot pogrzebu z narodzinami. To też od czytania dziejów słowiańszczyzny nieustannie przewracają się najcierpliwszemu czytelnikowi flaki. Osobliwością tych dziejów jest i to, że społeczności słowiańskie zawsze były ujarzmiane i pokonywane przez nich samych a nigdy lub bardzo rzadko za sprawą sił z zewnątrz działających, które tylko zbierały dla siebie plony samobójczych zapędów słowiańszczyzny. Hasło generała Bema. „gdy zechcemy — będziemy silni" tylko teoretycznie daje się pomyśleć, w praktyce bowiem Słowianie okazują się nieudolnymi chcieć, o co wszystko się rozbija. Że wszystkie te pobieżnie zaznaczone wady są cechami rasowymi, świadczy o tym nietylko ich starożytność i trwanie do ostatnich chwil, ale i to, że są one właściwe wszystkim warstwom i stanom społecznym i wszystkim odłamom rasy słowiańskiej, choć nie wszystkim w jednej mierze.

Otóż wszystko, co tutaj napisano, jest od początku do końca fałszem i gdyby autor czytał dzieje słowiańszczyzny głową, nie flakami, nie wezbraną wątrobą, nie poważyłby się zaryzykować tak płytkich uogólnień nawet wtedy, gdyby swą rzecz pisał po niemiecku w jakimś poznańskim *Tageblacie*.

Historja Rosji i historja Polski nietylko nie są pokrewne ale są wprost przeciwstawne i to wewnętrzne i zewnętrzne dzieje tych narodów w równej mierze, a historja Czech to znowu zupełnie odrębny urywek z *Weltgeschichte*, która jako *Weltgericht* wygłosiła nad tymi narodami wyrok ani logicznie motywowany ani — na szczęście — nie bezapelacyjny. Wszakże przez ten sam trybunał ułaskawione zostały niedawno Serbja, Bułgarja, Czarnogórze — których wyższości nad wymienionymi powyżej nie podjęłaby się redakcja *Krytyki* udowodnić.

W tym roku obchodzi cała Europa rocznicę momentu, w którym dwa narody słowiańskie, — każdy po przeciwnej stronie placu boju, wykazały, że umieją „chcieć", oba dały dowody zarówno przedsiębiorczości jak wytrwałości wojennej, której brak zarzuca autor hurtownie całej Słowiańszczyźnie. Przedsiębiorczość ta zakrawała na poetycką fantazję, gdyż stwarzała coś z niczego, a jednak stworzyła; mimo wszelkich klęsk i zawodów wytrwała, osiągnąwszy tylko nikłą cząstkę swego celu szła dalej; kosztem najwyższych ofiar zdobywała krok za krokiem utraconą spuściznę, a gdy zdawało się, że w ogólnym pogromie straciła wszystko prócz honoru, uratowała jeszcze tyle że mogła dorabiać się nowych sił na nowe walki i ofiary. Panu Feldmanowi nie wolno tego niewiedzieć, i nie wolno o tym zapominać, a należy tego nauczyć i współpracowników. Nie wolno mu też drukować takich słów:

> My Polacy (wobec zapowiadanego przez autora rozkładu słowiańskiej potęgi) nie mamy ani jednej łzy do uronienia, choć i radować się też nie można z takiego powodu... nie oczekuje nas nic innego jak zagłada. Nie chcemy, jak większość najętych dziennikarzy i publicystów być kosmetykiem, który kłamie i osłania brudy życia polskiego; natomiast chcemy być mydłem, które te brudy czyści. Z tego tytułu decydowaliśmy się już nieraz na zagrażającą życiu kąpiel błotną na trzęsawisku życia polskiego. Nie oglądając się na konsekwencje dla nas, wskazywaliśmy, że naród polski jest narodem ginącym, a nie odradzającym się, gdyż to jest logicznym i nieuniknionym następstwem całego szeregu czynników przeszłości i teraźniejszości dziejowej. Jedynie wzgląd, by nie radować nadmiernie i niezasłużenie wrogów naszego narodu, powstrzymywał nas od zbyt szczegółowych charakterystyk na powyższy temat.
>
> Agonje narodów i ras trwają całe stulecia. O tej agonji rozstrzyga rozmiar uzdolnienia do walki o byt narodowy, wykazanego w historji. Rozstrzyga o tym również ustosunkowanie stopnia odporności na ilość i jakość sił wrogich, trawiących ten byt i przemagających. Konjuktury te dla rasy słowiańskiej i poszczególnych jej odłamów narodowych nie upoważniają tylko do snów o potędze.

Czytelnicy polscy powinni podpisać zbiorową prośbę do p. Feldmana, aby zechciał nadal drukować *Krytykę* wyłącznie tylko w żargonie. Lud wybrany, oczywiście tylko cnotom zawdzięczający swą wielowiekową trwałość, z rozkoszą słuchać będzie tego ochrypłego krakania nad ciepłym jeszcze ciałem narodu, któremu pilno złożyć do grobu, by czymprędzej urządzić licytację ruchomości i nieruchomości po nieboszczyku. Można jak wiadomo, przy takiej okazji coś zarobić. Przecież już dawno spółka akcyjna Grosser, Żabotyński, Niselowicz, Landau i inni — położyła areszt na miastach i miasteczkach Królestwa Polskiego. Pan Feldman nie protestował, czy to jego interes? On jest patryjotą polskim na Galicję; zaarendował tam różne patry-

jotyczne aktualności i sensacje. — Ale ma być zagłada? to niech będzie. I tu jest sensacja — i to może pójdzie.

Sprawiedliwość wyznać nakazuje, że redaktor opatrzył ten artykuł długim przypiskiem tłomacząc, że jego autor „wybitny pisarz warszawski“ chce przez te cyniczne obelgi „leniwego Słowianina do czynu pobudzić“

Komentarz ten oczywiście jest równie niepoczytalny, jak cały artykuł.

Jeżeli jesteśmy „narodem ginącym“, bez względu na wszystkie okoliczności skazanym na zagładę, to na cóż brać się do czynu? Jedyne logiczne wnioski, jakie z tych przesłanek wysnuć można to 1-o albo trzeba się powiesić, 2-o albo autora poddać gruntownej kuracji i nie pozwalać mu pisać, póki nie stanie się zupełnie nieszkodliwym.

Pan Feldman, tak przeczulony, gdy idzie o żydów, tutaj stara się być zupełnie objektywnym. Łaskawie klepiąc naród polski po ramieniu, uspokaja go, że jeszcze tak źle nie jest. Sam pan Krzywicki mówił mu, że na zagładę na razie wcale się nie zanosi, choć nie wszystko jest, jak się należy.

„W Królestwie za nieszczęście narodowe uważamy antysemityzm“ ośmiela się i tu jeszcze zaznaczyć pan redaktor i dodaje, że „nowożytny ruch ekonomiczny i kulturalny dużo żydom zawdzięcza— jak wykazał Sombart“.

Cóż za bezwstydna arogancja!! Naprzód czarne malowidło „brudów polskich“, „polskiego błota“ „polskiego trzęsawiska“ — potym wychyla się z przypiska usłużny faktor i poleca takich mądrych izraelitów z dobrymi referencjami, którzy to wszystko wyczyszczą i uprzątną.

Nieboszczyk Stanisław Staszyc, straszny zacofaniec oczywiście, nazywał współczesnych sobie żydów polskich „naszego kraju letnią i zimową szarańczą“. Teraźniejsi żydzi — jak p. Feldman wiedzieć musi, nie wszyscy zajmują się redagowaniem pism i drukowaniem książek. Może słyszał coś o koniokradach, kontrabandzistach i podpalaczach z Działoszyc i Miechowa (to od Krakowa niedaleko), o handlarzach żywego towaru, grasujących w Zagłębiu, Mławie i po całym świecie, o lichwiarzach i paserach, których oglądać można w każdym miasteczku? — Wartoby może w *Krytyce* machnąć artykulik o brudach żydowskich i posłać go Sombartowi ku zbudowaniu i uświadomieniu? Nie! to się po panu Feldmanie nigdy nie pokaże.

*** *W Kurjerze Warszawskim* — tak jest, w *Kurjerze* — nie gdzieindziej, czytamy w artykule pana K. Glińskiego z okazji „Pochodu na Wawel“ takie uwagi o dziejach naszych, jakie przed paru laty byłyby tam jeszcze nie możliwe, a dziś są czymś niespodziewanym w tym organie. Nie tak dawno jeszcze gniewał się *Kur. Warsz.* na nasze uwagi o obchodzie Skargi. Dziś pan Gliński, którego zachwytu dla dzieła Szymanowskiego zresztą wcale nie podzielamy,—widzi w nim usymbolizowaną taką myśl przewodnią, przepływającą od postaci Bolesława Śmiałego i św. Stanisława do Skargi i Zygmunta Wazy:

> Pierwszym silnym szarpnięciem wiązadeł budującego się państwa Bolesławów był zatarg biskupa z królem. Przeciwko nieograniczonej władzy królewskiej stanął dostojnik Kościoła wzmożonego tryumfem Canossy. Zatarg skończył się męczeńską śmiercią biskupa lecz i upadkiem króla... Czy tylko samego króla? Nastał wiek klątw, Polska w podziałach, panowanie książąt nie wieńczących już czoła Bolesławów koroną. Za tryumfującym biskupem, owym symbolem zwycięskiego Kościoła, przejęty ekstazą pochylił się tłum i idzie w przyszłość nieznaną. W pochodzie tym nie bierze udziału Bolesław. Stanął z brwią groźną i patrzy. To nie on się zatrzymał lecz myśl jego *samowładna*. Pochód się rozszerzył — idzie dalej. Jakby gnany tchem świętego, zapatrzonego w krainy niebieskie, a tu, na ziemi świat postać swą zmienił, prądy nowe, idee nowe przenikały ludzkość, budziła się myśl wolna w dziedzinie zagadnień najwyższych z jednoczesnym wzmacnianiem się tronów. Tron polski chciał siłą miecza swego wzmocnić Batory. Idzie pełen dumy i wiary w siebie, wsparty ramieniem Zamoyskiego Podniósł zdobywczą myśl Bolesławów, dwa morza pieśń mu grają, ale jego szerokoramienne zamiery splątał dech, płynący od zabitego biskupa. Lecz minął wiek ekstazy i świętych. Tchnienie piersi Stanisława wzięło lot przyziemny i zniżyło się do poszeptu wyznawców Lojoli, rzucanych w ucho Zygmunta Wazy, zatrutych jadem nietolerancji w poprzek stających tchnieniom nowej duszy świata. I oto na czoło pochodu wysunęło się fatum staszliwe, Los Narodu, jedna z najkrwawszych tragedji świata. Tym szeptom rzuconym w ucho Zygmunta naród uwierzył — i ogarnął go mrok ciemności; ten szept wypędził arjanów, z izb senatorskich wygnał dysydentów poprowadził na odsiecz Wiedniowi w ekstazie św. Stanisława Jana Trzeciego, jak on zapatrzonego w Rzym światowładny, gdy ziemskie jego dziedzictwo szarpano w kawałki. W konfederacji barskiej ozwał się jeszcze ten szept wieków.
>
> Z komnat wawelskich wywiódł Zygmunt III-ci nie urojone przez artystę zimne posągów postaci, ale myśl Piastów i Jagiellonów na zatracenie [illegible].

Tak dzisiaj już piszą w *Kurjerze Warszawskim*, który przecież zawsze usilnie stara się o to, by być al-pari z całą opinją przeciętną, brukową, krążącą po Krakowskim Przedmieściu od Bernadynów do Lursa i od Lursa do Ś-go Krzyża. To, co było niedawno herezją, dziś staje się już „vox populi“. Fakty może nie są zupełnie ścisłe; św. Stanisław nie był pono stronnikiem papieża lecz raczej cesarza i gdyby był dłużej pożył, możeby się naraził na klątwę. To na razie nie należy jednak do rzeczy. Główna sprawa w tym, że gdy hr. Tarnowski i książę biskup Sapieha przeczytają uwagi pana Glińskiego, to „Pochodu na Wawel“ do Wawelu nie wpuszczą.

KRONIKA.

WALKA O ZIEMIĘ. Zapisek niniejszy obejmuje ruch sprzedażny ziemski, który odbywał się w zab. pr. w ostatnich trzech tygodniach poza zeszłego mies. i do połowy zeszłego. Najpierwsze miejsce zajmuje W. Ks. Poznańskie, choć również, niestety, najwięcej dostarcza kupczycieli ziemi.

Na „czarną listę“ w ciągu wymienionego okresu czasu dobrowolnie wciągnęli się następujący sprzedawczycy:

Bolesław Sujuk z Popówka w powiecie obornickim, sprzedał swą 50-io morgową posiadłość Niemcowi za 48,500 mr. Sprzedawczykiem, co najsmutniejsze, kierowała li tylko zła wola, gdyż akcja ratownicza ze strony polskiej była natężona i kupno majątku przez Polaka nie przyprawiłoby zuprzańca o straty.

St. Praczyk oddał w ręce niemieckie swą 86-io morgową posiadłość w Stodołach (pow. Strzeliński). Na początku bieżącego miesiąca obywatelka Zabłocka wykupiła od Niemca Hoffmanna dobra Dubsko, pod Strzelnem obszaru 1,400 mórg z 650.000 marek. W powiecie Szamo-

tolskim Polak Józef Kosmann nabył za 120.000 mr. w Chlewiskach pod Kazimierzem 200 morgowe gospodarstwo.

Ogółem więc Polacy nabyli w tej dzielnicy 1.695 morgów, a stracili 135 mórg ziemi polskiej. Przejdźmy teraz do innych dziedzin zab. pr.. Obywatel ziemski, St. Bienalowski, nabył dobra rycerskie Stężyce na Kaszubach (Pr. Zach.), posiadłość wynosi 1.700 morgów i kosztowała nabywcę - miljon marek. Lecz na tych samych Kaszubach Emil Lniski i dr. Bruski z Kartuz przefrymarczyli 300-a morgowy folwark polski w Lesznie przy Kartuzach Na Pomorzu p. Szukalski z Brześcia nabył z rąk niemieckich wieś Radystowo, obszaru około 1.000 morgów.

P. Wojnowski z Kleszczewka (pod Gdańskiem) nabył Nowydwór, obszaru 2,800 mórg. Jest to więc już czwarty majątek, wykupiony z rąk niemieckich przez p. Wojnowskiego. Z rąk niemieckich w polskie przeszedł w Pr. Wschodnich, 1 150 morgowy majątek.

Ogółem więc Polacy w zab. pruskim (prócz Śląska) nabyli 8.345 morgów ziemi, stracili zaś 455. A więc byłto okres dla nas, jak widzimy, dość korzystny.

KONFISKATA. Na zasadzie postanowienia komitetu do spraw prasowych, skonfiskowano Nr. 118 *Gońca Wieczornego i Porannego* i Nr. 72 *Kurjera Porannego*.

V-y ODDZIAŁ TOW. KULTURY POLSKIEJ W WARSZAWIE. Oddział w roku 1911-ym zajmował się głównie urządzaniem odczytów, bądź łaźnych, bądź powiązanych w cykle, gdyż na wykłady systematyczne nie otrzymano dotychczas pozwolenia Średnia liczba słuchaczów na odczytach niedzielnych i południowych w wielkiej sali Filharmonji wynosiła w r. z. 477, ogólna 5727.

W lokalach pozostałych wysłuchały 378 odczytów, pogadanek i czytanek 24,902 osoby. Największą liczbę słuchaczów, gdyż 9008 miały odczyty i pogadanki z dziedziny historyczno-literackiej, następnie z dziedziny prawno-społecznej (5713), wreszcie najmniej z nauk przyrodniczych, gdyż 4837 słuchaczów. Nadto pracę odczytową uzupełniała praca w trzech sekcjach: społecznej, historycznej i literackiej. Oddział urządzał zebrania członków, wycieczki, zwiedzanie wystawy obrazów i t. d.

V-ty oddział liczył w końcu roku 578 członków, w tym robotników 80, rzemieślników 69, handlujących 39, nauczycieli 61, lekarzy 24, adwokatów 55, techników 24, przemysłowców 17, oficjalistów 86, sklepowych 23, dziennikarzy 5, literatów 6, artystów 8, doktorów filozofji 8, właścicieli ziemskich 3, duchownych 1, oddanych domowym zajęciom 73.

OGNISKA LUDNOŚCI ŻYDOWSKIEJ. Wedle statystyki francuskiej liczebność żydów w większych miastach świata przedstawia się w następujących cyfrach:

New York 1,062,000, Warszawa 280,000, Budapeszt 200,000, Wiedeń 146,926, Londyn 144,300, Odessa 148,935, Brooklyn 100,000, Berlin 98,893, Łódź 98,677, Chicago 80,000, Saloniki i Filadelfja po 75,000, Paryż 70,000, Konstantynopol 65,000, Wilno 64,000, Amsterdam 60,000, Jerozolima 55,000.

PIŚMIENNICTWO W ROSJI. Jak podaje *Riecz*, w roku 1911 wydano w Rosji: w języku polskim 1,664 książek w 5,094,940 egz., w języku rosyjskim — 25,526 książek w 58,279,177 egz., w językach ormiańskim, gruzińskim, małorosyjskim, tatarskim, estońskim, łotewskim, żargonie i w hebrajskim — 3,141 książek w 9,343,954 egz.

Pism perjodycznych w roku 1911 wydano: w języku polskim — 203 tyg. i mies. i 58 gazet, w języku rosyjskim — 1,123 tyg. i mies. i 770 gazet, w jęz. niemieckim 40 tyg. i mies. i 38 gazet, a w pozostałych — 121 tyg. i mies. i 104 gazet.

OFIARY.

Na kolonje letnie składki od następujących pracowników T-wa Nikopol. Marjupolskiego w Sartanie, mianowicie:

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 3, S. Kleinszneck rb. 3, S. Hegner rb. 2, H. Cywiński rb. 2, I. Tomaszewski rb. 1 S. Pilarski rb. 1, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowsk, rb 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, J. Woroszyłło kop 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, R. Świetliński kop. 75, B. Popiel kop. 50, L. Czaykowski rb. 1. Ogółem, rb. 54, kop. 75.

Książki nadesłane do Redakcji:

William Szekspir: „Dzieła dramatyczne“, w dwunastu tomach, z portretem autora, przekłady J. Kasprowicza, J. Korzeniowskiego, St. Koźmiana, Z. Ostrowskiego, A. Pajgerta, J. Paszkowskiego, E. Porębowicza i L. Ulricha. Tom II. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka, 8-ka, str. 241. Cena 65 kop. i rb. 1 (na lepszym papierze).

Ukazał się tom drugi „Dzieł dramatycznych“, Szekspira w wydawnictwie, wspomnianym już na tym miejscu. Są to przekłady: dramatu „Miarka za miarkę“, „Komedji omyłek“ i „Wiele hałasu o nic“, dokonane przez Jana Kasprowicza. Przedmowy do każdego utworu napisał dr. Roman Dyboski, prof. uniw. Jagiellońskiego.

Wiktor Hugo: „Człowiek śmiechu“. Powieść. Tłómaczył z francuskiego Felicjan Faleński—Tomy I, II i III z 19-u ilustracjami Wydanie miesięcznika „Ciekawe Powieści“ Nr. 22, 23 i 24. Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 190, 199 i 191.

Zygmunt Różycki: „Sen o Szczęściu“. Poezje. Serja VII. Warszawa, 1912 Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. Str. 116.

Stanisław Brzozowski: „Osty“. Broszura poświęcona sprawom ogrodnictwa polskiego. Warszawa, 1912. Cena kop. 30.

Leon Tołstoj: „Żywy Trup“. Dramat w 6 aktach, z przedmową Józefa Jankowskiego. Warszawa, 1912. Nakładem księgarni St. Sadowskiego. Str. 94.

Pietro Orsi: „Włochy Nowoczesne“. Dzieje ostatnich lat stupięćdziesięciu. Z upoważnienia autora przełożył i uzupełnił Stanisław Posner. Warszawa, 1912. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. Str. 444.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: „Legenda Tatr“. Warszawa, 1912. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. Str. 422.

Feliks Gwiżdż: „Dobrzy ludzie“. Nowele i szkice. Lwów, 1912. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. Str. 190.

Anatol Krzyżanowski: „Psyche“. Powieść współczesna. Warszawa, 1912. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. Str. 260.

Odpowiedzi od Redakcji:

Panu Marjanowi W. w Rz. Celem zyskania żądanej informacji w zakresie bibliografji, zwróciliśmy się do specjalistów. Odpowiemy niebawem

Autorowi meandra (*Serja II* — — ?) Nadesłanego nam wierszyka zamieścić nie możemy dla braku rubryki p. t. „Ośla łąka“.

Wydawnictwa „PRAWDY".

Antoni Menger: Prawo do całkowitego wytworu pracy CENA **k. 75**

Karol Gide: Rozwój instytucji społecznych w ciągu **XIX** stulecia **rb. 2**

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie: miesięcz. kop. 70, kwartal. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz. do domu.

[illegible]

[illegible]

Sekretarz redakcji przyjm[illegible]

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop **20** w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. [illegible]

[illegible] POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Iluzje robotnika. — ODCINEK: Markiza de Brinvilliers, przez Leona Choromańskiego. — Protest artystów. — W zaborze pruskim, przez Obserwatora. — BADANIA NAUKOWE: Nauka o geniuszu, przez Dr. Bronisława Biegeleisena. — Thomas H. Huxley. Zasady filozofii, przez Dr. K. P. — POEZJA: Oczy, przez Kazimierza Wroczyńskiego. — POD ŚWIATŁO. Nr. 2. Wielkości u siebie, przez St. Kiedrzyńskiego. — KRYTYKA: Opoka, przez Jana Dąbrowskiego. — Teresa Lubińska: Nie wiedziała, przez Eust. Czekalskiego. — Cypryan Norwid. — Z PRASY: Z prasy polskiej. KRONIKA: Ofiary. — Książki nadesłane do redakcji. — Odpowiedzi od redakcji. — Ogłoszenia.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**

Redaktor: **Aleksander John.**

Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, Ś-to Krzyska 11.